

Stefania Habryn*

MOJE WSPOMNIENIE O SZADKU

Urodziłam się co prawda we wsi Rzepiszew, siedem kilometrów od Szadku, ale całe moje dziecinne lata związane były z tym miasteczkiem. Było mi – i jest do tej pory – bardzo drogie, wciąż czuję do niego niezmierną sympatię. Miałam różne przeżycia związane z tym miastem, miłe i bardzo przykre.

Dla okolicznych wiosek to było bardzo ważne miejsce: był tam – jak i dzisiaj – kościół, urząd pocztowy, policja i w ogóle życie kręciło się wokół Szadku. Tam jechało się do chrztu, tam całymi tygodniami chodziło się na naukę katechizmu, bo przecież nie było wtedy – w drugiej dekadzie tamtego wieku – żadnych szkół na wsi, żeby dzieci mogły się wtedy uczyć. Trzeba było co dzień drałować piechotą te siedem kilometrów do kościoła. Ja też chodziłam. Szliśmy zawsze przez Bobownię albo ulicą Dolną. Nie wiem, czy tak się naprawdę nazywała, była to zwykła błotnista, polna droga, mało zabudowań, a tylko płoty i płoty. Dopiero bliżej kościoła Dolna zmieniała się w miejską uliczkę. Natomiast Bobownia była dość ładnie zabudowana, ale też po wiejsku: murowane domy, podwórka i w głębi – stodoły, jak na każdej wsi.

Byłam w Szadku dwa lata temu i nie mogłam go poznać. Może nie całe miasto, ale rynek zmienił się bardzo. Chyba tylko stara studnia została ta sama. Rynek był kiedyś zabudowany tak jak i teraz, ale za mojej pamięci był to plac wybrukowany kamieniami, bez odrobiny zieleni. Także i róg ulicy prowadzącej z rynku do kościoła dzisiaj wygląda dużo ładniej niż w czasach mojego dzieciństwa.

Kiedyś to właśnie na rynku, w środku miasta, odbywały się w każdą środę jarmarki. Był tłok, ścisk, między furmankami i straganami przejść było trudno, ale handel szedł znakomicie. Rynek zapełniał się tłumem ludzi, straganów i pojazdów również w każde większe święto, nie tylko w Wielkanoc, Wszystkich

* Stefania Habryn jest dawną mieszkanką wsi Rzepiszew, położonej w gminie Szadek

Świętych czy Boże Ciało, ale także w lipcu, podczas odpustu na św. Jakuba, czy we wrześniu, na św. Idziego.

Pamiętam, że były w rynku dwie piekarnie, był też sklep Ankla na rogu ulicy prowadzącej w kierunku Sieradza. Wchodziło się do niego po drewnianych schodkach, a można w nim było wszystko, nawet w niedzielę. Była też na rynku knajpa, gdzie odbywały się „oblewania” przy różnych okazjach, pamiętam nawet, że jej właściciel nazywał się Kuliberda. To w tym lokalu po chrzcie mojej koleżanki Władki rodzice i chrzestni popili się tak, że do domu wrócili bez dziecka, bo zgubili je po drodze. Dziewucha wypadła im z wozu, ale że owinięta była w wielką poduchę nic się jej nie stało i odnaleziono ją całą i zdrową. Po latach jednakże wyszło na jaw, że wpisano ją do ksiąg kościelnych jako chłopaka i w wieku 18 lat dostała wezwanie do wojska ... jako Władysław.

Ta restauracja mieściła się tam, gdzie teraz kupowałam kwiaty, żeby je zanieść na cmentarz. Cmentarze też bardzo się pozmieniały. Kiedy bywałam w Szadku jako brzdąc, przeważnie chowano zmarłych na starym cmentarzu. Ten drugi nazywano „cholerycznym” i rzadko kto chciał tam być pochowany. Dużo rodzinnych grobów mam na obu cmentarzach w Szadku: mój ojciec, jego matka a moja ukochana Babcia i moja najmłodsza siostra, leżą razem, w jednym miejscu na cmentarzu przy kościele św. Idziego.

Wokół kościoła św. Jakuba też jest dzisiaj zupełnie inaczej. Za mojej pamięci był on ogrodzony od tyłu. Za tym kościołem był jakiś cmentarz ze starymi tabliczkami na zapomnianych dawno grobach. Wszystko to zarośnięte był krzakami, trawą i zielskiem. Pod ogromnymi lipami przysiadły w cieniu stare kobiety, po sumie, czekając na nieszpory. Tak siadywała moja Babcia, która chodziła do kościoła na zmianę z moją Mamą, co drugą niedzielę i musiała się wymodlić do syta, żeby na dwa tygodnie starczyło. Ciekawam, kto zmienił, uporządkował i upiększył to miejsce, bo teraz ten skwerek za kościołem jest bardzo ładny.

Nasza wieś, Rzepiszew, rozciągał się wzdłuż rzeki, czy raczej rzeczki o nazwie Pisia. Latem był to zwykły strumień. Wzdłuż rzeczki wiła się droga, a za nią stało ze czterdzieści chałup, jedna przy drugiej. Wieś była ciasno zabudowana, jedni drugim zaglądali w garnki wszyscy wszystko o wszystkich wiedzieli. Nikt

nie zamykał domów na zamki czy kłódki. Jak się czasem pojawili we wsi Cyganie, jeden sąsiad pilnował domu drugiemu sąsiadowi.

Poza wsią stał dwór. We dworze mieszkali właściciele tego majątku: Józef Leopold, stary kawaler i jego dwie siostry: Maria i Stanisława, obie stare panny oraz kuzynka, też stara panna, Agnieszka. Dziedzic przezywany był przez chłopów „psiakrew”, bo taki miał zwyczaj, że co drugie słowo mówił „psiakrew”, a brzmiało to tak, jakby z bicia strzelił, bo w ogóle był bardzo szybki, nieduży ale bardzo żwawy. Jak ja go poznałam, mógł mieć około 55 lub 60 lat. Panna Agnieszka prowadziła ochronkę, taką niby-szkolę dla dzieci chłopskich i dworskich, to znaczy tych, których rodzice pracowali we dworze na roli. Nauka odbywała się w budynku zwanym oficyną, który stał obok pałacu. Do tej ochronki chodziło się tylko zimą i ja też chodziłam, gdy miałam ze 6 lat. Nikt się chyba w tej szkole nigdy nic nie nauczył, bo mieliśmy wspólnie tylko jedną książkę, z której wszyscy po kolei czytali. Moja kuzynka starsza ode mnie o 6 lat, nauczyła mnie na pamięć jednej czytanki z tej książki, „Dziad i koza”. Przez całą zimę, kiedy tylko panna Agnieszka sobie zażyczyła mnie przepytac, zawsze czytałam tę czytankę. I tak było ze wszystkimi. Nie wiem, ona się pewnie w tym wszystkim dobrze orientowała, ale co miała zrobić, kiedy nie było książek, zeszytów, ani nawet ołówków.

Panna Agnieszka była osobą łagodną. Nie krzyczała na dzieci, a raczej starała się je nagradzać, niż karać. Któregoś dnia przyniosła dwa pomidory i dała je w nagrodę jednemu z chłopaków – i mnie. Niosłam go do domu, żeby pokazać Mamie i Babci, ale chłopaki na drodze wyrwali mi go z ręki i zaczęli nim w siebie rzucać. Rozprysnął się na miazgę

Już w późniejszym czasie, kiedy nastąpiła wolna Polska, mieliśmy nauczyciela, który mieszkał właśnie na Bobowni. Kiedyś moja matka dała mi dzbanek mleka i kazała go zanieść nauczycielowi. Zaniósłam, a on w zamian dał mi tabliczkę czekolady. Miałam wtedy 10 lat i nie wiedziałam, co to jest, czy to w ogóle do jedzenia? Zaniósłam te czekoladę do domu i w ogóle nie spróbowałam, zjadły młodsze dzieci.

A jeszcze później, był jeszcze jeden nauczyciel, przyjechał do nas z dużego miasta, nazywał się Gruszczyński. I w tym nauczycielu beznadziejnie się zakochałam ...

Ale wróćmy do panny Agnieszki. To był jej pomysł, żebym sypała kwiatki na procesjach w Szadku. Stąd znali mnie dobrze obaj księża, stary i młody.

Starszy wiekiem ksiądz dziekan – nazywał się chyba ksiądz Mirecki – przyjeżdżał często do Rzepiszewa do dworu. Wydaje mi się, że był to jakiś kuzyn dziedzica. Chłopi - pewnie żartem – mawiali między sobą, że do Mireckiego nie warto chodzić do spowiedzi, on wszystko powie „Józefowi”, czyli dziedzicowi. A spowiadać się mieli z czego, bo prawie wszyscy dziedzica trochę podskubywali, zwłaszcza ci, co mieszkali blisko pańskich gruntów. W księżycowe sierpniowe noce niejedyn sнопek pszenicy przewędrował z pańskiego pola do chłopskiej stodoły.

A propos tego „skubania” dziedzica, to ja też próbowałam tego dokazać mając cztery czy pięć lat. A było to tak.

Za wsią, wzdłuż rzeki, po obu jej stronach rozciągał się aż do drugiej wsi, do Łobudziec, dworska łąka. Latem tę łąkę koszone, a potem siano zwożono do pańskich stodoł na wielkich drabiniastych wozach. Były to ogromne, fury zaprzężone w cztery konie każda. Co roku przez kilka dni takie fury przewożono wzdłuż całej wsi, a za furami biegły często starsze dzieci i skubały siano. Nie wiedziałam, po co to robią.

Pewnego dnia, tak jakoś przed wieczorem, kręciłam się sama koło domu. Jedzie fura! Pobiegłam i wyciągnęłam z niej parę garstek siana. Położyłam je pod płotem i myślałam, co mam z tym zrobić? Aż tu jedzie następna fura. Postanowiłam znowu trochę z niej uskubać. Podbiegłam z boku, od strony rzeki ... i ocknęłam się w chałupie, na rękach wujenki. Skądś się nagle wzięła pełna chałupa ludzi, widzę – nawet stara Zbrojewska przyleciała ze środka wsi! Rozglądałam się i słyszę, jak jakaś babka krzyczy: „Drań, przejechał dziecko!” kogo przejechali? – zaciekawiłam się, ale jak mnie zaczęli przewracać z boku na bok, obmacywać mi ręce i nogi, szukać, gdzie połamane, zrozumiałam, że chodzi o mnie i zaczęłam krzyczeć: „Nikt mnie nie przejechał!” „No to czemu leżysz na drodze nieżywa?!” widać z tego podniecenia musiałam zemdleć – i tak to w młodym wieku zostałam przez los ukarana za skubanie pańskiego mienia.

Nasz wieś była bardzo biedna. Było tam może trzech, albo czterech gospodarzy, którzy mieli po 10 morgów ziemi, reszta

miała pięcio- lub sześciomorgowe gospodarstwa. Za to wszyscy byli bogaci w dzieci. W każdym domu było ich pięcioro, sześcioro, nierzadko nawet ośmioro. Głodne nie chodziły, ale marcepanów nie jadały. Głównym pożywieniem były ziemniaki, czyli po wiejsku pyrki. U nas też na śniadanie był zwykle garnek pyrek z barszczem, czasem buraczanym, to była specjalność mojej babci. No obiad jadaliliśmy pyrki ze zsiadłym mlekiem, na kolację pyrki w zalewajce, a czasem kluski ziemniaczane albo plince czyli kartoflane placki, ale to przeważnie w niedzielę. Do tego bywała niekiedy kawa zbożowa z mlekiem, ale bardzo często zamiast cukru mieliśmy tylko sacharynę. Gorzej bywało, gdy rok był nieurodzajny w pyrki, bo albo za suchy, albo za mokry ... Wtedy bywało różnie.

Gospodynie piekły chleb, nawet chleb razowy, ale zawsze był on otaczany szczególnym szacunkiem. Ciasto widywaliśmy tylko na wielkie święta, głównie na Wielkanoc, Boże Narodzenie i Zielone Świątki. Te ostatnie były ze świąt najmiłsze, bo było już wtedy ciepło, zielono i bardzo wesoło. Choć i Wielkanoc była, oj nawet aż nazbyt wesoła. W drugie święto cała młodzież ganiała po wsi z wiadrami pełnymi wody. Było wtedy pisku i śmiechu co niemiara. A było tej młodzieży i dzieci dużo i wszyscy żyli tak jakoś gromadnie. Wszyscy razem szli do lasu na jagody. Starsi całą gromadą chodzili na grzyby. Zawiazały się przyjaźnie, które trwały całe życie, nawet choćby losy rzuciły ludzi po świecie. Wiem to z własnego doświadczenia.

Moja Babcia miała czterech synów i aż pięć córek. Synowie mieli jakiegoś pecha. Najstarszy, Wojciech, wracając zimą z zabawy, zabłądził w śnieżycy i zamarzł na łąkach. Przywieźli go ludzie do domu nieżywego. Kiedy drugi syn, Antoni, dorósł i ożenił się, Babcia (bo dziadek już nie żył) rozdzieliła majątek. Po wywianowaniu córek, z których trzy zamieszkały w Łodzi, a jedna w Warszawie, Babcia podzieliła ziemię między dwóch starszych synów. Ponieważ żona Antoniego wniosła jakieś wiano, młodzi otrzymali od babci 7 morgów, a mój ojciec, Jan, jako kawaler dostał tylko 5 morgów.

W chacie Babci były dwie izby. W mniejszej zamieszkał antoni z żoną, a większą zajmowała Babcia z pozostałymi dwoma synami i jednym z wnuków, którego wychowywała od trzeciego roku życia.

Moja Babcia był to złoty człowiek. Bardzo była kochana przez wszystkie wnuki, a z moją mamą bardzo dobrze żyły, nigdy nie słyszałam nawet najmniejszej kłótni. Rodzina opowiadała sobie taką anegdotkę o Babci i o tym jej najstarszym wnuku, którego wychowywała. Janek, mały smyk, był bardzo sprytny jak na swój wiek. Kiedyś Babcia budzi go mówiąc: „Wstawaj, Janku, bo trzeba wypędzić cielaki w krzaki”. Nie wiem dlaczego to pastwisko nazywano krzakami, bo był to kawał wypalonego przez słońce ugoru, ani śladu jakiegokolwiek zielonego krzaczka. Na tym wspólnym pastwisku, gdzie pasażo się tylko9 cielaki i bardzo młode bydło, spotykała się cała dzieciarnia z Rzepiszewa. Czasami, kiedy było ciepło i ładnie, było to miejsce rajem, a czasem bywało piekłem, w zimne jesienne słoty. Więc Babcia mówi do Janka: „Wstań, ugotuję ci jajeczko.” Zaspany, odpowiada nie otwierając oczu: „Jedno? To za mało”. Babcia na to: „To ugotuję ci dwa”. „Oj, babciu dwa to za dużo ...”

Chłopi z naszej wsi mieli taka umowę z dziedzicem, że raz w tygodniu wolno im było iść do lasu i przynieść sobie na plecach pęk suchego drzewa. Mogli obracać i po trzy razy, ale tylko w piątek i nie wolno było nic rżnąć piłą ani rąbać siekierą. Pewnego piątku Antoś wybrał się do lasu z trzema kolegami. Wracali już z tym drzewem na plecach i w połowie drogi siedli na rowie, żeby rozpocząć. Posiedzieli, popalili, a potem się podnieśli i poszli dalej, tylko Antoni już nie wstał. Spostrzegli to po jakimś czasie i wrócili, ale już nie żył. Przynieśli mojej Babce drugiego syna – martwego. Zdażył zostawić po sobie jeszcze syna i cztery córki. A potem mój ojciec ożenił się i wziął w dzierżawę od dziedzica jeszcze 4 morgi ziemi, na której nieźle gospodarował. W 1914 roku było nas na świecie już czworo rodzeństwa: mój starszy brat, ja, młodszy brat i siostra.

Najtragiczniejsze wspomnienie mojego dzieciństwa wiąże się z I Wojną Światową, którą zapamiętałam jako czteroletnie dziecko.

Pamiętam wojsko, żołnierzy w czerwonych spodniach i obozowe ogniska, co płonęły wieczorami na dworskich łąkach. Spaliły się w tych ogniskach wszystkie chłopskie płoty i strzechy zerwane ze stodół i szop.

Niemcy przegonili od nas Rosjan, a potem zaczęli zaprowadzać nowe porządki. W Łodzi fabryki stanęły. Zapanowało

bezrobocie, głód i nędza w miastach. I wtedy wszystkie siostry ojca zjechały do nas na wieś, do Babci. Nagle było nas w rodzinie i na utrzymaniu mojego ojca 18 osób, w tym gromada dzieci, obdarzonych wielkim apetytem. Żeby ich wszystkich wyżywić, mój ojciec zaczął skupować od chłopów świnie. Robił to po kryjomu, bo Niemcy zabraniali handlu żywnością. Cześć mięsa z uboju szła na potrzeby rodziny, reszta na sprzedaż. Tak się zaczęła handlowa kariera mojego ojca, która kosztowała go życie. Handlował na szeroką skalę: bydłem, końmi i zbożem. Jeździł po wsiach i skupował towar, a inni kupcy już na niego czekali i zabierali to dalej, do Łodzi, Pabianic, Piotrkowa, Konstakynowa, Lutomiarska ... Wszędzie był głód. Przez jakiś czas moja matka przez całą dobę wypiekała chleb, po który przyjeżdżały kobiety aż z Łodzi, nieraz nawet z dziećmi. Brały przeważnie po dwa sześciokilowe bochny i szły z nimi pieszo do Łodzi, bo wtedy nie było żadnej komunikacji, prócz koni. Jeszcze za Rosjan, przed wojną, mama zabrała mnie w odwiedziny do swojego ojca w Tarnówce i tam widziałam na szosie wielkie konie ciągnące potężne wozy wyładowane belami bawełny. Wozily te bawełnę z Łodzi do Zduńskiej Woli albo i dalej na zachód ... Ale teraz była wojna i szosy opustoszały. Biedni ludzie chodzili piechotą.

Pamiętam, raz moja mama niosła jedzenie prosiętom: tłuczone kartofle z otrębami, zabelone mlekiem. Ja dreptałam uczepiona jej spódnicy. Na pniu pod jabłonią siedział czekająca na chleb kobieta z dziewczynką w moim wieku. Dziewczynka powiedziała: „Mamusi, ja bym to chciała zjeść”. Pociągnęłam moją mamę za fartuch i powtórzyłam jej to. Nie chciało mi się pomieścić w głowie, że ktoś chciałby jeść świńskie jedzenie! Wracając od prosiąt matka zabrał kobietę i dziewczynkę do domu i dała im obiad.

Którego wtorku na początku stycznia 1918 roku przyjechał do mojego ojca kolega z Lutomiarska. Nazywał się Korkosiński i też trudnił się handlem. Zanocował u nas, a rano w środe wybrali się we dwóch z ojcem na jarmark do Szadku. Korkosiński wrócił sam. Opowiadał, że był mróz i niewiele ludzi zjechało na targ. Chodzili wiec po tym Szadku i nic nie kupili. Dzień w styczniu krótki, zaczęło się ściemniać. Postanowili wracać, ale przedtem weszli jeszcze do restauracji, żeby coś zjeść. Akurat wybuchła

wśród pijących tam chłopów jakaś awantura, pojawili się żandarmi i zaczęli sprawdzać dokumenty. Mój ojciec nie miał przy sobie dowodu, zapomniał go wziąć z domu. Przyczepili się do niego, zrewidowali go na oczach wszystkich wyciągnęli mu z portfela pieniądze i zaczęli przeliczać, a było tego sporo. Zza bufetu wyskoczył wtedy Kuliberda, właściciel knajpy i mówi: „Panowie, ja za tego człowieka ręczę całym moim majątkiem i życiem!” byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobił, bo wtedy ojca zamknęli by bezpiecznie w areszcie ... Tymczasem jednak puścili go. Natomiast przyczepiła się do ojca jakaś panienka lekkich obyczajów. Ojciec powiedział do kolegi: „Na rogatkach znowu będą sprawdzać i znowu będę miał kłopoty”. Panienka, która wyszła razem z nimi, natychmiast zaoferowała im nocleg. Ojciec ją ponoć niezbyt grzecznie ofuknął. Powiedziała: „Jeszcze tego pożałujesz!” nie zdążyli ująć daleko, jak posłyszeli goniących ich żandarmów. Ojciec, który znał dobrze ten teren, skoczył przez jakiś płot i zniknął.

Korkosińskiego zatrzymano i przez noc na komisariacie, rano go wypuścili i jeszcze przed obiadem był u nas. Ojciec nie wrócił. Matka nie niepokoiła się bardzo: może powędrował gdzieś dalej za handlem, a może boi się żandarmów, bo będą go chcieli zamknąć za tę ucieczkę ...

W piątek przed obiadem rzeczywiście pojawił się żandarm z Szadku. Przyszedł piechotą i spotkałam go na drodze. Mama wysłała mnie tego dnia do szkoły. Bo pod koniec wojny, w chałupie wynajętej od Ciepłuchów prowadził szkołę jeden z moich kuzynów, Stefan Miśkiewicz. Miał osiemnaście lat, był gimnazjalista i przyjechał do nas na wieś razem z gromadą rodziny z Łodzi. Chłopi zatrudnili go jako nauczyciela, oczywiście potajemnie. Nauczył nas czytać. Jakim cudem udało mu się sprowadzić kilka elementarzy, nie wiem, ale mój elementarz pamiętam. Recytowaliśmy z niego rankami – ja i młodsze rodzeństwo, siedząc na łożku w pierzynach: „bla, ble, bli, cla, cle, cli, gla, gle, gli ...” Nazywaliśmy nauczyciela „bekalorz”, bo głos miał potężny jak organy i lubił śpiewać. Swoją niepewność w roli nauczyciela nadrabiał krzykiem i dlatego bałam go się strasznie. Jak spojrzął na mnie, już płakałam. I do szkoły nie lubiłam chodzić. Tego dnia też szłam z płaczem, chociaż miałam na sobie nowy płaszczyk,

z czerwonego aksamitu. Elementarz niosłam schowany pod połą płaszczyka, tak, jak nam rodzice przykazywali i kiedy zobaczyłam żandarma, przycisnęłam go do piersi jeszcze mocniej. Podszedł bliżej, wziął mnie ręką pod brodę i zagadnął coś do mnie, ale ze strachu rozplakałam się tylko jeszcze bardziej. Poszedł dalej, do naszej chałupy. Mama mówiła potem, że chciał obejrzeć paszport ojca. Jeszcze i wtedy nie miała złych przeczuć.

Ale kiedy ojciec nie pojawił się ani w piątek, ani w sobotę, w niedzielę poprosiła sąsiada, żeby pojechał z nią do Szadku do kościoła. Tam spotkała znajomego gospodarza, niejakiego Stamirowskiego, który mieszkał na samym końcu wsi Osiny. Zapytał: „Sama jesteś? A Janek gdzie?” „Nie ma go w domu od środy.” „Jak to. Przecież szedł prosto do domu!”

Podobno wpadł do Stamirowskiego, chciał zostawić u niego pieniądze i iść dalej. Stamirowski pieniądze przechowywać nie chciał i zaproponował ojcu nocleg. Ponoć ojciec powiedział: „Coś ty, za godzinę będę w domu, tylko odprowadź mnie kawałek, gdyby się tu żandarmi kręcili, to poręczysz za mnie i to wszystko.” Poszli we dwóch niedaleko szosą i spotkali czterech mężczyzn. Stamirowski znał jednego z nich, a ojciec przywitał się ze wszystkimi jak z dobrymi znajomymi. Ojciec poszedł z nimi dalej, Stamirowski zawrócił. Spotkawszy teraz moją matkę w kościele powiedział do niej: „Chodź ze mną do Kozłowskiego, on był z nimi!” Niestety, Kozłowskiego już w domu nie było. Jego przyjaciółka powiedziała, że w czwartek spakował walizkę i wyjechał, dokąd – ona nie wie. Pamiętam, jak matka wpadła do domu z wielkim płaczem.

Wszyscy mężczyźni ze wsi, młodzi i starzy, poszli w tamten poniedziałek szukać ojca, a czas był okropny, śniegu nasypało po pas. Janek był już szesnastoletnim kawalerem. To on właśnie zabrał naszego psa, który przez wszystkie te dni, kiedy ojca nie było, wychodził na drogę i wył. I pies znalazł ojca. Jego ciało leżało zasypane śniegiem, pod mostem, między Osinami a Tarnówką, wcale nie na drodze do Rzepiszewa. Biedna Babcia doczekała się, że przywieźli jej na saniach do domu trzeciego syna nieżywego.

A Kozłowski sześć tygodni później zginął podczas napadu. Było to wtedy wydarzenie bardzo głośne na całą okolicę. Banda napadła jakiegoś bogatego gospodarza, który mieszkał gdzieś

w okolicach Szadku. Miał czterech synów i dwie córki, wszyscy już dorośli, ale bandytów było aż czterestu ... Napadnięci bronili się, powstał krzyk, sąsiedzi przyszli z pomocą i bandyci zaczęli uciekać. Kozłowskiego dogonił najmłodszy syn gospodarza i zabił go jak psa, orczykiem czy kijem. Inni uciekli. Jednego złapano już za polskich czasów, chyba w 1920 roku. Był to ktoś z Krokocic. Sądzonego w Łodzi i nawet wzywano, żeby ktoś od nas pojechał złożyć zeznania w sprawie ojca. Podobno tamten przyznał się do udziału w morderstwie. Powiesili go.

Takie napady zdarzały się wtedy często. Pod koniec wojny namnożyło się różnych łobuzów, którzy grasowali w okolicy. W Dobruchowie zabito młode małżeństwo – kobieta była w ciąży. Czasem nie było jednej nocy, żeby kogoś gdzieś nie zamordowano. Ale tak się działo w całej Polsce, nie tylko u nas.

Też jest moje wspomnienie związane z Szadkiem.

Są i inne wspomnienia, mniej tragiczne, ale ważne, choćby nie dotyczyły wydarzeń ważnych dla historii świata.

Do pierwszej spowiedzi poszłam mając niecałe dziewięć lat. Po nie wiem ilu tygodniach biegania do Szadku na naukę katechizmu, ksiądz wikary zrobił nam próbną spowiedź: postawił konfesjonał na cmentarzu przed kościołem i tam nas na niby spowiadał. Przyszła kolej na mnie, a tu dookoła biegają chłopaki i podsłuchują! Przyklękłam i milczę. Myślę sobie: „Ten ksiądz głupi, czy co? Jak ja mam mówić głośno swoje grzechy, żeby się potem chłopaki ze mnie śmiały?” Ksiądz czeka, czeka, a w końcu mówi: „Trudno, albo nie masz wcale grzechów, albo nie wiesz sama, jakie masz grzechy, więc do spowiedzi iść nie możesz”. Popłakałam się. Byłam zrozpaczona, bo przecież wszystko umiałam i grzechy swoje znałam i było mi okropnie wstyd powiedzieć mojej mamie o tym! A mama przytuliła mnie i mówi: „To nawet bardzo dobrze, jesteś jeszcze bardzo mała. Pójdiesz do komunii na drugi rok, bo je nawet nie mam za co cię ubrać.” Na drugi dzień nie poszłam do kościoła, bo i po co. Ale po nauce przyleciały do mnie te dziewczyny, które chodziły razem ze mną i przyniosły wiadomość, że ksiądz tylko żartował, że jestem przyjęta do komunii i mam stanowczo przyjść.

Nie wiem już dzisiaj, co się potem stało z księdzem dziekanem. Ale po nim nastał ksiądz Żak. To był dopiero

gospodarz! Zadał on o kościół i – jeszcze bardziej – o parafian. Potrafił sam wziąć widły i rozrzucić nawóz na parafialnym polu. A chłopów, zwłaszcza młodzież, która latem miała zwyczaj – zamiast wejść do kościoła – zostawać na zewnątrz w cieniu drzew, potrafił naganiać do świątyni kijem. Umiał nawet iść na rynek, żeby zapędzić opornych na mszę! Czy też go ktoś jeszcze pamięta? Dał się we znaki i Szadkowiakom, jeździli na niego na skargę, ale nic nie wskórali. Kiedyś dowiedział się, że mówią na niego „stary”. Następnej niedzieli bił pięściami w ambonę krzycząc, że „stary może być pies, a człowiek jest w podeszłym wieku!” Kiedyś przerwał kazanie widząc z ambony wchodzącą do kościoła, spóźnioną, paniusią z wielkim dekoltem. Sekundę milczał, a potem powiedział: „Przepuście ja, niech usiądzie, bo wystawiła te cycki i idzie, jak krowa!” cały kościół zamarł z wrażenia, a potem opowiadano to sobie po wsiach z rodzajem szacunku.

Wszyscy bali się księdza Żaka. Jak przyszedł czas spowiedzi wielkanocnej i obaj szadkowscy księża zasiadali w konfesjonalach, to do młodego księdza była długa kolejka, a do starego – nikogo. Raz obie z koleżanką stałyśmy w tej długiej kolejce. Patrzyłam na księdza Żaka w drugim konfesjonale – nudził się widocznie. Mówię do Stachy: „Ja idę do starego, przecież mnie nie zje!” Ona na to: „Coś ty, zgłupiała?!” Ale wzięłam się na odwagę i idę, przez cały kościół. Ksiądz mnie obserwuje, widział, że wyszłam z kolejki, ale myślę: „a niech tam! Co będzie, to będzie.” Miałam wtedy z dziesięć lat, a grzechy pewnie straszne, bo powiedział mi surowo: „Żebyś więcej tak nie grzeszyła, bo cię może” – pamiętam to dobrze – „piorun z nieba zabić!” Zatrzęsłam się ze strachu i myślę: „Boże, chyba nie da mi rozgrzeszenia”, ale dał – i zamiast stuły do pocałowania wziął moją rękę – taka była malutka w jego dużej dłoni – i mocno uściskał. Trochę mnie, grzesznicę, ten uścisk ręki pocieszył.

Tak, ksiądz był wielki raptus, ale gospodarz dobry i o kościół naprawdę dbał.

Co do tej spowiedzi i grzechów, to muszę się przyznać, że potem długi czas wystrzegałam się grzechów, może nie tyle z miłości do Boga, ile ze strachu przed tym piorunem. Ale z tego dzieciństwa pozostała mi podejrzliwość, niewiara w ludzką

uczciwość i kilka innych grzechów, na które strach przed piorunem nie ma wpływu ...

To właśnie ksiądz Żak zmienił obyczaje parafian w sprawie sypania kwiatków. Jak dotąd dziewczynki sypiące kwiatki występowały ubrane po krakowsku, a ksiądz Żak nakazał białe sukienki. W takiej białej sukience sypałam kwiatki przed biskupem, który przyjechał do Szadku na jakieś uroczystości, panna Agnieszka, kuzynka naszego dziedzica Leopolda, rezydentka we dworze, która zajmowała się szczegółami uroczystości, wyznaczyła mnie do sypania kwiatkami na nieszpórach.

Po nabożeństwie zagapiłam się gdzieś i zanim się zorientowałam, wszyscy się rozjechali do domów – i zostałam na rynku sama. Nadchodził wieczór, a mnie czekała droga do domu na piechotę, samotnie! Byłam wystraszona, ale na szczęście zobaczyłam jakąś ostatnia bryczkę z Górnej Woli. To była znajoma gospodyni, Stępniowa, z dziećmi. Oczywiście zabrała mnie ze sobą. Od Górnej Woli do Rzepiszewa to już głupstwo, sama trafię. Pani Stępniowa była wdową i pewnie uzalała się nade mną sierotą, bo przykazała swoim dzieciom odprowadzić mnie przynajmniej do dworu. Ale Józek i Oleńka, starsi ode mnie, wyszli ze mną tylko przez wieś i mówią: „Dalej możesz iść sama, wilki cię przecież nie zjedzą”. Byli głodni i zmęczeni po tych nieszpórach więc wrócili do domu. A ja byłam niespokojna, bo musiałam przejść po ciemku koło dworu, a na noc we dworze spuszczano psy.

Zaczełam się jednak naprawdę bać dopiero na krzyżówce. Niedaleko dworu droga się rozwidlała, a ja nie wiedziałam, w którą stronę pójść. Namyslałam się co robić, aż usłyszałam kobiece głosy. Poczułam radość i ulgę: to maślarki idą do Łodzi z handlem. Zawsze przechodziły przez naszą wieś – z której strony nadejda, w tą stronę pójdę ja.

Za rowem na rozwidleniu dróg stał krzyż, stanęłam pod tym krzyżem i czekam. Zobaczyłam ciemne postacie w mroku – ruszam w ich stronę, a one w krzyk! i hyc, hyc, skaczą w popłochu na drugą stronę rowu, byle dalej ode mnie! To były cztery kobiety i jeden mężczyzna. Dopiero kiedy ich minęłam, usłyszałam: „Wszelki duch Pana Boga chwali, przecież to dziecko!” Tak ich wystraszyła ta moja biała sukienka pod krzyżem na rozstaju. Ich

przerażenie mi się udzielił: odmawiałam zdrowaśki przechodząc koło naszej kapliczki, gdzie wiadomo było, że straszy.

Efekt tej nocnej przygody był taki, że więcej sypać kwiatkami nie poszłam. Moja Mama była rozgniewana na pannę Agnieszkę, że mnie zostawiła samą, bez opieki. A dla mnie ta przygoda była tak okropna, że jeszcze teraz czasem śni mi się, że jestem sama w Szadku na rynku i będę musiała iść po ciemku przez całe Osiny, tylko że teraz to często nie wiem, dokąd właściwie mam iść ...

Wyjechałam z tamtych stron do Łodzi w 1927 roku, ale cała moja liczna rodzina została w okolicach Szadku. Często do nich jeździłam i często odwiedzałam to miasteczko. Całe życie marzyłam, żeby tam zamieszkać ... Widać przejęła te moje sympatie moja najstarsza córka, bo objechawszy całą Polskę. Osiadła na starość właśnie w Szadku. Namawia mnie, żebym wróciła. A ja już sześć razy leciałam samolotem i mimo najszerzej chęci – już nie mam siły na więcej.

Przeżyłam już lat dziewięćdziesiąt, mieszkam teraz w Australii i jest mi tu dobrze na stare lata. Mam tu dzieci i wnuki i biorę udział w ich życiu, żyję ich problemami, a jednak moje wszystkie myśli pełne są wspomnień o ukochanych miejscach w Polsce. Bo człowiek młody żyje życiem codziennym, swoimi sprawami teraźniejszymi, a dopiero kiedy w przyszłości niewiele go już czeka, wraca myślami wstecz.

Gdy usłyszałam tu, z dala od kraju, że tam w moim ukochanym Szadku są ludzie, których interesuje historia i dawne sprawy, postanowiłam się i ja do tego wspomnienia włączyć. Bo choć życie moje nie było błyskotliwe i tych wspomnień o samym Szadku jest tyle, co z dzieciństwa, czyli niewiele, to jednak są dla mnie bardzo ważne i dlatego chciałam się nimi z wami podzielić. Ale jeśli uznacie je za bzdury, to proszę, wyrzucicie je po prostu do kosza, wcale się o to nie pogniewam ...